Posiwiała rzeka – haiku

Tekst: Adam Fiala

Fotografie: Anna i Andrzej Fiala



Posiwała rzeka, fot. Anna Fiala

Posiwiała rzeka

W prześwitach

Zachodzącego słońca



Skamieniałe marzenia, fot. Anna Fiala

Skamieniałe marzenia

Olbrzyma

Z rudą czupryną



Światło, fot. Anna Fiala

Światło i kształty

Zrodzone

Z ciemności



Odbity most, fot Anna Fiala

Odbity most

W rzece Swan

Ma przesmak prehistorii



W blasku, fot. Anna Fiala

W blasku Australii

I martwe trawy

Ożywają



Samotny krab, fot. Anna Fiala

Samotny krab

Wdrapał się na drzewo

I zamarł



Palma, fot. Anna Fiala

Palma

Która zrodziła

Słońce

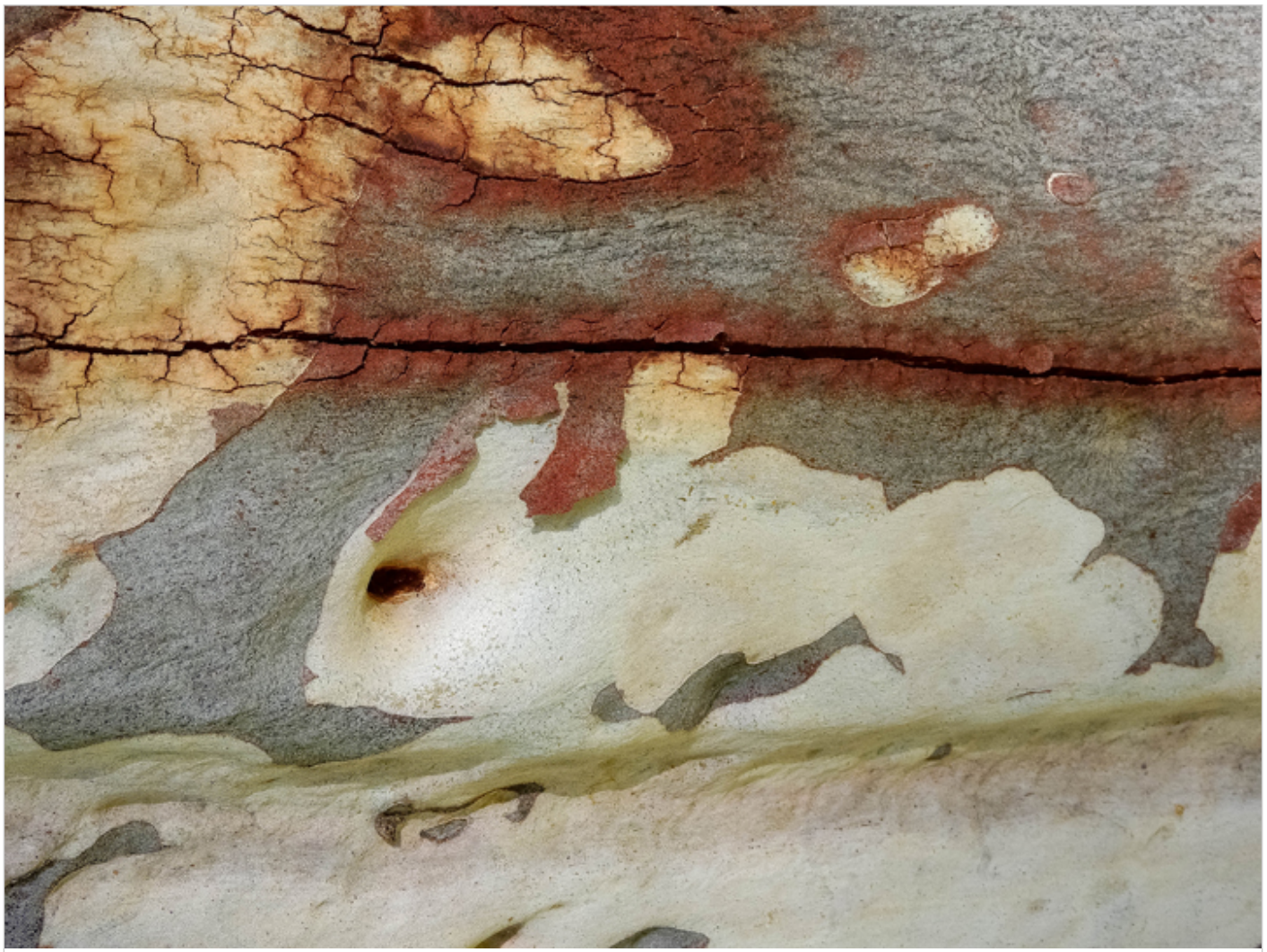

Dokąd, fot. Anna Fiala

Dokąd podążasz

Biały króliczku

Tępiony w Australii



Tajemniczy wieloryb, fot. Anna Fiala

Tajemniczy wieloryb

Który zastygł

Na lądzie



Jednooki, fot. Anna Fiala

Jednooki potwór

Niepewny

Swego istnienia



W zielonych koronkach, fot. Andrzej Fiala

W zielonych koronkach

Ukrywają się oczy

między pionem cienkiego nosa



To drzewo, fot. Andrzej Fiala

To drzewo

Pragnie przytulić

Niebo i powietrze



Dwaj leśni mocarze, fot. Andrzej Fiala

Dwaj leśni mocarze

Jeden z nich

Podciąga się ku górze

O Józefie Wittlinie



Józef Wittlin, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Z prof. Florianem Śmieją rozmawia Ewa Wielgosz

Ewa Wielgosz: Jak wyglądało Pana pierwsze spotkanie z Józefem Wittlinem? Kto je zainicjował?

Florian Śmieja: Sądzę, że były to odwiedziny w Nowym Jorku, bo z pobytu w Londynie w czasie mojej rezydencji w Anglii nie mam żadnych pewnych wspomnień. Wprawdzie w liście z 1962 roku Wittlin anonsował możliwość odwiedzin Londynu w drodze powrotnej z Hiszpanii, po wizycie u córki, ale chyba do planowanego spotkania ze mną i kolegami, jak sugerował, nie doszło. Widzenie się w USA było moją inicjatywą, a pomógł je zrealizować Paweł Łysek, który zaprosił mnie do siebie na Long Island.

E.W.: Z jakiego powodu zaproponował Pan to spotkanie?

F.Ś.: Poznawszy w Warszawie Antoniego Słonimskiego, a potem w Londynie Kazimierza Wierzyńskiego, zauważyłem możliwość spotkania innego prominenta poetyckiej falangi poprzedniej generacji. Nie chciałem zaniedbać szansy jak to się stało wcześniej w Anglii, gdzie przegapiłem spotkanie z byłym wojewodą śląskim, Michałem Grażyńskim, który kolegował z moim Teściem, choć zdołałem odwiedzić Adama Ciołkosza. Postanowiłem więc zaproszenie do Nowego Jorku ukoronować wizytą u Józefa Wittlina, poety cenionego za troskę i obronę

wartości etycznych i franciszkańskie pochylenie się nad maluczkimi.

E.W.: W Pańskim Archiwum (Archiwum Profesora Floriana Śmieji) w Bibliotece Uniwersytetu Rzeszowskiego przechowywane są cztery listy, które Wittlin napisał do Pana w latach 1959-1972. Czy poza owym przypomnianym przez Pana spotkaniem, utrzymywaliście Panowie tylko listowny kontakt?

F.Ś.: Te listy, o których Pani wspomina, zachowały się przez przypadek i nie mogę wykluczyć, że nie było ich więcej, ale to trzeba by zweryfikować w korespondencji Wittlina.

E.W.: Jaki był główny temat Pana rozmów z autorem *Soli ziemi*?

F.Ś.: Pod kuratelą doktora Jerzego Pietrkiewicza w School of Slavonic and East European Studies w Londynie studiowałem z grupą studentów brytyjskich powieść *Sól ziemi*, pierwszą część trylogii, którą Wittlin ukończył i wydał. Oczywiście, interesował nas los reszty zamierzonej trylogii.

E.W.: Czyli podczas spotkania w Nowym Jorku zapytał Pan autora o jego plany dotyczące kontynuacji *Soli ziemi*? Jakie miał zamiary?

F.Ś.: Po tylu latach już nie powiem z pewnością, co autor orzekł,

a co było ogólnie wiadome. Panowała opinia, że części drugiego tomu zaginęły w czasie nieudanej ucieczki Wittlina z Francji do Wielkiej Brytanii, że stara się on odtworzyć kontynuację, wreszcie, że trapi autora niemoc twórcza, choć części drugiego tomu wydrukowała paryska „Kultura"w 1972, a bodaj w 1995 roku w Polsce wyszła *Sól ziemi* z fragmentami kontynuacji.

E.W.: W którym roku i pod jaką nazwą dr Jerzy Pietrkiewicz prowadził zajęcia, podczas których omawiano *Sól ziemi*?

F.Ś.: Ja prowadziłem klasę byłych wojskowych, którzy uczyli się języka polskiego, by zostać attache wojskowymi. Były to lata, kiedy pomoce naukowe były liche, istniał podręcznik A. Teslara napisany, zdaje się, dla Szkotek, żon Polaków, służył za wprowadzenie do języka ze słynnym zdaniem o ordynansie, który dawał pić karemu koniowi pana pułkownika czy czymś podobnym. Lekturę wybierał Pietrkiewicz i on forował wtedy *Sól ziemi*. Wprowadził odmienną listę zalecanej lektury. Propagował Paska, Norwida, Irzykowskiego, *Z dnia na dzień* Ferdynanda Goetla, Kasprowicza i Gabrielę Zapolską.

E.W.: Czy *Sól ziemi* stanowiła Panów lekturę obowiązkową? Należała do kanonu czy była to propozycja wykładowcy?

F.Ś.: Może tak się składało, że niezależnie od swoich walorów, powieść była dostępna na rynku.

E.W.: Czy przypomina Pan sobie kwestie, które poruszał dr Jerzy Pietrkiewicz w związku z *Solą ziemi*? Jak ją oceniał? W jaki nurt literatury wpisywał? Może pozostały jakieś skrypty, notatki z tych zajęć?

F.Ś. Za dużo czasu upłynęło i było sporo translokacji, by zachowały się jakieś rekwizyty.

E.W.: W latach 70. odwiedził Pan Wittlinów w ich nowojorskim mieszkaniu. Czy w tym spotkaniu uczestniczyły inne osoby? Żona Wittlina, jego córka, wspólni znajomi Panów?

F.Ś.: W Nowym Jorku, oprócz Pawła Łyska i jego bratanka Jana, był Józef Wittlin i jego żona, Halina.

E.W.: Istnieje fotografia Pana z autorem *Soli ziemi* będąca pamiątką po owej nowojorskiej wizycie. O czym Panowie rozmawialiście podczas spotkania?

F.Ś.: Zachowały się dwie fotografie zrobione w mieszkaniu Wittlinów. Na jednej stoją Paweł Łysek, ja i Józef Wittlin, na drugiej, oprócz nas, stoi także Halina Wittlin. Na pierwszej w ręku trzymam otwarty egzemplarz kwartalnika „Oficyna Poetów i Malarzy” z wierszami Józefa Wittlina.



W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Paweł Łysek, Florian Śmieja, Józef Wittlin, fot. arch. F. Śmieji.



W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Józef Wittlin, Paweł Łysek, Halina Wittlin, Florian Śmieja, fot. arch. F. Śmieji.

E.W.: Jak wyglądał dom Józefa Wittlina? Czy widział Pan miejsce, w którym Wittlin pisał?

F.Ś.: Mieszkanie Wittlinów było na którymś piętrze kamienicy. Pamiętam, że jechaliśmy windą. Oba zdjęcia ukazują salon, a zarazem pracownię pisarza. Rozłożone książki nie pozwalają zdecydować, czy leżą na biurku czy na stole.

E.W.: Czy pamięta Pan legendarne już w pewnym sensie koty Wittlinów? Podobno „uczestniczyły” w każdej rozmowie (bezpośredniej i telefonicznej) gospodarzy z gośćmi, nie

pozwalając się zamknąć na ten czas w łazience?

F.Ś.: Na ten temat nie umiem , niestety, odpowiedzieć.

E.W.: We wspomnianej przeze mnie zachowanej korespondencji Panów, Wittlin pisał o odwiedzinach Jerzego S. Sity oraz lekturze utworów Adama Czerniawskiego, przekazywał na Pana ręce pozdrowienia dla nich, wyrażał nadzieję na wspólne spotkanie. Czy autor *Soli ziemi* poznał jeszcze innych Pana kolegów pisarzy?

F.Ś.: Nie wiem, czy udało się Józefowi Wittlinowi spotkać z moimi kolegami, bo to był problem przeniesienia się na drugi kontynent.

E.W.: Jaka opinia na temat twórczości Józefa Wittlina panowała wśród Pańskich kolegów współtworzących pismo „Merkuriusz Polski" i „Nowy Merkuriusz-Kontynenty"? Czy znaliście Panowie *Sól ziemi*, *Hymny*, eseje Wittlina, jego przekład Homerowej *Odysei*? Jak ocenialiście te utwory jako młodsi „koledzy po fachu"?

F.Ś.: Wymienieni koledzy już jakiś kontakt mieli. Czy jeszcze się zacieśnił, nie wiem. Znajomość dorobku naszych starszych kolegów była przypadkowa, gdyż na emigracji tylko wyjątkowo udawało się przedrukować przedwojenne książki. Rzadkie

egzemplarze były w ważnych bibliotekach, ale trzeba było być w głównych ośrodkach emigracyjnych, by z nich korzystać. Ja ceniłem wiersze Wittlina i jego przekłady Homera. Wielkie wrażenie wywołały później wydane w Paryżu eseje.

E.W.: Jakie wiersze lub eseje Wittlina pozostały w Pańskiej pamięci do dziś? Co takiego, Pan jako pisarz, uznał za wartościowe (może oryginalne) w jego poezji i eseistyce?

F.Ś.: Zapamiętałem obowiązkowe czytanie esejów rozważających dylematy emigrantów i rozmyślania egzystencjalne.

E.W.: Czy zna Pan przekłady poezji hiszpańskiej na język polski dokonane przez Józefa Wittlina? Jak Pan, jako hispanista, je ocenia?

F.Ś.: Przelotnie widziałem te przekłady, ale już nie pamiętam impresji. Pisał Wittlin, że poznał na Harvardzie Jorge Guillena, jednego z wybitnych poetów hiszpańskich i polecił mi go, sądząc, że byłbym dobrym tłumaczem.

E.W.: Józef Wittlin przełożył na język polski utwory Carlosa Bousoño (*Jan od Krzyża*), José Luisa Cano (*Piękno*), Vicente Aleixandre *Dialogi o poznawaniu. Maja i Starucha (Na corridzie)*, Francisco Brinesa (*Ostateczna samotność*), Miguela Hernandeza (*Kołysankę o cebuli*), José Hierro (*Pieśń mająca więźnia ukołysać*

do snu). Co te wybory mówią o artystycznym „smaku” tłumacza?

F.Ś.: W wyborze tych wierszy Wittlin kierował się dobrą znajomością współczesnej mu liryki.

E.W.: W naszej poprzedniej rozmowie, która odbyła się na Uniwersytecie Rzeszowskim przy okazji Sympozjum Naukowego *„Małe ojczyzny* w twórczości pisarzy emigracyjnych” powiedział Pan, że „Wittlin to był moralny człowiek”. Skąd ten wniosek? Jakim człowiekiem jest Józef Wittlin z Pańskich wspomnień?

F.Ś.: Spotkałem człowieka uduchowionego i delikatnego, wywołującego wielkie poszanowanie. Niewiele brakowało, a byłbym go na pożegnanie pocałował w rękę z respektu.

Felietonistka

z pazurem



Krystyna Cywińska

Grzegorz Małkiewicz

Krystynę Cywińską poznałem osobiście pod koniec ubiegłego wieku, kiedy rozpocząłem współpracę z „Tygodniem Polskim”,

sobotnim wydaniem „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”. Była filarem gazety. Na jej felietony czekali zarówno ci, którzy zwykle zgadzali się z jej punktem widzenia, jak i zapiekli adwersarze. Ogromna wiedza, doświadczenie, kultura literacka i osobista oraz żywy język sprawiają, że intelektualne i polityczne spory z Krystyną Cywińską należą do największej przyjemności i w niczym nie przypominają wszechobecnej w polskiej debacie publicznej agresji.

Krystyna Cywińska jest felietonistką rasową, z bardzo ostrym pazurem, z wrodzonym darem polaryzowania postaw, pozbawionym moralizatorstwa. W swoim charakterystycznym, wyostrzonym stylu komentuje wydarzenia polityczno-społeczne od ponad 50 lat. Nie zawsze są to wydarzenia z pierwszych stron gazet, bardzo często dotyczą życia Polaków na Wyspach Brytyjskich. Pretekstem może być najmniejszy, mało zauważalny przez innych fragment naszej, często banalnej rzeczywistości. Dzięki tej różnorodności tematycznej, bliskości środowiskowej (możemy się w felietonach Krystyny Cywińskiej przeglądać i rozpoznawać) powstał poważny dorobek prozatorski, świadectwo epoki, który nie traci nic ze swojej aktualności i literackiej finezji. To duże osiągnięcie, bo felieton jako gatunek prasowej wypowiedzi, ma zwykle krótkie życie, podobnie jak wydarzenia, do których nawiązuje.



Krystyna Cywińska, rysunek.

Krystyna Cywińska felietonowy styl rozpoznała bezbłędnie. Wie, że o czytelnika musi walczyć, że wypolerowany przekaz to śmierć felietonu, tak samo jak nachalne ideologiczne zaangażowanie. Wybitny słuch językowy pozwala autorce przełamywać bariery pokoleniowe, o czym przekonałem się, redagując „Nowy Czas", w którym zaczęła publikować swoje teksty kilka miesięcy po założeniu pisma. Stała się mostem, jaki od początku naszej działalności wydawniczej próbowaliśmy budować między emigracją niepodległościową, przebywającą w Wielkiej Brytanii od czasów wojny, a nowym pokoleniem przybyszy z Polski. Zdobyła wielu nowych czytelników spośród młodej generacji, zatrzymując jednocześnie tych, którzy kiedyś czytali ją na łamach

„Tygodnia Polskiego”.

Mimo 90. rocznicy urodzin jej znakomita pamięć, językowa ekwilibrystyka, poczucie humoru i bystry zmysł obserwacji w zmieniających się szybko czasach powodują, że na jej felietony nadal czekamy z niecierpliwością. Krystyna Cywińska jest niewątpliwie legendą (niestety, ostatnią z żyjących) polskiego dziennikarstwa na Wyspach Brytyjskich. Prezydent Andrzej Duda odznaczył ją Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Order wręczył Jubilatce Adam Kwiatkowski, Sekretarz Stanu w Kancelarii Prezydenta RP odpowiedzialny za kontakty z Polonią i Polakami za granicą w sobotę 15 października 2016 r., przed premierą „Zemsty” w Teatrze POSK-u.

„Nowy Czas”, Londyn, nr 5/223, 2016

Miłość po szkocku.

Prehistoria – kiedy życie było proste.



Glasgow na dawnej fotografii. Stacja kolejowa.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest

jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.

Anna Habryn

Rozdział 1

Ma na imię Mary. (…) Wychowała się w Glasgow, w przemysłowym, zadymionym mieście, nad rzeką Clyde, którą spływały ścieki z wielu fabryk, między innymi ze stoczni Goran, tej, w której zbudowano wielkie pasażerskie transatlantyki – królowe „Mary” i „Elizabeth”. Były lata trzydzieste. (…)

Mieszkańcy Glasgow – twierdzi Mary – potrafili się bawić, mieli swoisty wdzięk i poczucie humoru. Większość mężczyzn umiała śpiewać i grać na akordeonie. Jeśli nie mieli pod ręką żadnych instrumentów, wkładali między palce rąk suche kostki baranie i wybijali nimi rytm niby grzechotkami. Często tak grali i śpiewali w pogodne letnie wieczory. Śpiewali o Szkocji, Szkoci bowiem zawsze śpiewają o Szkocji, w kółko o zielonych łąkach i polach rodzinnych. Większość z nich zresztą nigdy nie ruszała się z miasta i nigdy nie widziała tych gór, o których śpiewali, bo sąsiedzi Mary nie byli podróżnikami i jeśli ktoś z nich kiedyś dotarł do Londynu, uważano, że widział już cały świat. (…)

Dzieci dookoła było dużo i życie na podwórku wrzało. Rzadko kto miał zabawki, a te dzieci, które je miały, strzegły ich jak najdroższych skarbów. Ale od czego pomysłowość? Dwie puszki po konserwach, ze sznurkiem przewleczonym przez dziurki w ściankach – i już mieli *puszki-chodaki*, na których człowiek czuł się taki wysoki, oczywiście, jeśli potrafił utrzymać równowagę. Skakankę robiło się z kawałka linki do wieszania bielizny. (…)

Charlie, jej mały brat, był częścią jej życia od zawsze. Opiekowała się nim, chroniła go, i matkowała mu. Brał udział w jej zabawach i psotach – z konieczności i z natury rzeczy. (…)

Właściwie, dla Mary wojna zaczęła się dopiero, kiedy pierwsze bomby spadły na Govan. Mieszkali tylko o dwie mile od stoczni,

która była pierwszym celem Luftwaffe. Dorośli mówili między sobą: *O nie, Germańcy nigdy nie przejdą przez Kanał Angielski. Stary Churchill będzie ich bił na plażach, a my wytępimy ich na brzegu.* Nie wiedziała, o czym mówią, ale miała szybko spostrzec, że świat się zmienił. (…)

Mary zawsze najbardziej lubiła wczesne wieczory, zanim jeszcze trzeba było wracać do domu na kolację. Ale teraz coraz częściej wyły syreny i wszyscy szli do schronu. Po drodze, czasem widziała samoloty i – przysięga na to – lecące z nieba bomby. Wszystko było fascynujące. Wczesnym rankiem ludzie grzebali w gruzach szukając resztek swojego dobytku. Wszyscy opowiadali sobie, gdzie spadły bomby ostatniej nocy.

Któregoś jesiennego dnia (*to było 1 października 1940* – mówi Mary), w słoneczne, jasne popołudnie, Matka zawołała ją z okna. W jej głosie było coś tak dziwnego, że Mary popędziła najszybciej, jak mogła. Mama szlochała, skulona na klęczkach, na podłodze, w kuchni.

– Twój tatuś nie żyje!

Mary zapytała niepewnie:

– Co to jest „nie żyje”?

Mama zajrzała dziecku w oczy i zastanowiła się chwilę:

– To znaczy… poszedł do nieba.

To brzmiało lepiej. Mała objęła matkę rączkami za szyję i powiedziała:

– Nie płacz, znajdziemy drugiego.

(…)

Z dnia na dzień życie zmieniało się na gorsze. Matka sprzedała stopniowo wszystkie meble, ze wspaniałym pianinem na czele. Zabawki Charliego i Mary zniknęły z domu już dawno. Żywność kupowano na kartki. Cukru brakowało, używano sacharyny. Kobiety nauczyły się gotować zupy bez mięsa, na odrobinie margaryny. Cała Szkocja jadła owsiankę, której Mary nienawidziła. Osiągalna była ryba – i kości, tylko kości.

W okolicach Bożego Narodzenia bywało ciężej, niż latem. Dzieci kochały śnieg, robiły z niego bałwany, ale kiedy topniał, buty przemiękały natychmiast. Miewali oboje z Charliem okropne bąble na stopach, które próbowali suszyć i ogrzewać przy kominku.

Węglarz przychodził raz w tygodniu. Węgla było w ogóle mało.

Niedaleko ich domu zaczynała się najuboższa dzielnica miasta. Ludzie tam wiedzieli, kiedy przybywały pociągi z węglem i wtedy kto żyw ciągnął na tory: mamy, babcie, nawet pięcioletnie dzieci, wszyscy zbierali drobny węgiel rozsypany na torach. Ładowali go do starych wózków dziecinnych i taczek. Kobiety miały fartuchy pozszywane brzegami jak torby i zginały się pod ich ciężarem w pół, ale to nie węgiel pokrywał pyłem ich twarze, one były zawsze smutne i postarzałe przed czasem.

Dla dzieci wszystkich wyznań jednakowo, Boże Narodzenie było okazją jedyną w roku. Dzieci życzyły sobie choinki i prezentów, takich jak w domach kolegów i na wystawach wielkich sklepów.

Mary przypomina sobie, jak tuż przed którymiś świętami podczas wojny odkryła w szafie przygotowane dla niej i Charliego paczki. Bardzo żałowała wtedy swojej ciekawości. Marzenia i oczekiwania były o niebo piękniejsze niż rzeczywistość: szmaciana lalka, dwie mandarynki, czekoladowe pieniążki – i to wszystko. Miała jeszcze nadzieję, że do świąt jej paczka się powiększy. Niestety. Była zawiedziona, ale nie pisnęła słówka, bo dostałaby solidnego klapsa, gdyby matka wiedziała o jej myszkowaniu po szafach.

Święta były i tak ciekawe, bo szkoły i teatry wystawiały przedstawienia dla dzieci, jasełka, musicale i pantomimy: występowali prawdziwi artyści, światła i muzyka wzruszały do

łez, nawet jeśli się nie rozumiało ich sensu i nikt nie zadał sobie trudu, by ten sens wyjaśnić.

Po jednym takim przedstawieniu Mary postanowiła, że kiedy dorośnie, zostanie artystką. Najlepiej tancerką.

Ogólnie – życie było piękne.

(…)

Matka była zawsze otoczona rojem mężczyzn różnych narodowości, miała w czym wybierać. Chodziła z sympatycznym Kanadyjczykiem, nawet korespondowała z jego rodziną w Kanadzie, ale zabito go na froncie. Potem był Henry Lang, oficer brytyjskiej marynarki, też miły, ale Mama stwierdziła, że jest niepoważny. Następny, Bill Johnson, był prawdziwym dżentelmenem, ale nie umiał tańczyć. A potem pojawił się Jan Rogacki, Polak, olbrzymi, przystojny marynarz o łagodnych, brązowych oczach.

– Ciekawe – mówi Mary – Jan też nie umiał tańczyć, a jednak matka zaręczyła się z nim.



Mary i jej brat Charlie.

Mary i Charlie zobaczyli Jana pierwszy raz w 1942 roku. Jego okręt „Błyskawica”, przypłynął do Broomilaw dla przeprowadzenia przeglądu technicznego i niezbędnych reperacji. Jan poszedł z kolegami do klubu dla cudzoziemskich marynarzy i tam zawarł znajomość z dwiema Irlandkami, siostrami, które z kolei zapoznały go ze swoją przyjaciółką.

Nazywała się Sheila Ross (Catherine, ale kazała mówić na siebie Sheila). Była samotną matką z dwójką dzieci. Stracił dla niej głowę od razu.

Mary była nim zachwycona. Był łagodny, nie mówił wiele, podziwiał, kiedy popisywała się dla niego tańcem, przynosił im czekoladę. Matka dostawała od niego jedwabne pończochy i podarunki ze wszystkich portów, do których „Błyskawica" zawijała w swoich rejsach.

Jan nie był jedynym Polakiem na horyzoncie. Ciotka też chodziła na randki z jakimś polskim żołnierzem. Jan pojawiał się na przepustkach dość często i zawsze coś przynosił. Matka rzuciła pracę i zaczęła napomykać, że Jan będzie ich tatusiem. Znowu spali w normalnych łóżkach, jadali regularnie posiłki, a dom był czysty i wysprzątany. Wraz ze swoją wypłatą Jan wnosił do ich życia normalność.

W wolnych chwilach majsterkował. Nie miał wprawdzie narzędzi, ale i tak potrafił zrobić stolik do kawy, na trzech nogach. Zrobił ich kilka, a Mary sprzedała je swoim koleżankom w szkole, po siedem szylingów i sześć pensów – to był majątek!

Jan potrafił zrobić sidła i złapać w nie gołębia. Pieczone gołąbki – to był prawdziwy rarytas na ich stole. Jan postarał się o nowe ręczniki i pościel, a koce na pewno pochodziły z „Błyskawicy", no

bo skąd? Były wprawdzie niewielkie, ale Mary znowu było w nocy ciepło. Te koce miały jej służyć przez całe lata. Jadąc do Australii też zabrała je ze sobą.

Któregoś dnia Jan przywiózł hamak. Powiesił go na podwórku, na hakach wbitych z jednej strony w ścianę komórki na węgiel, a z drugiej do muru schronu przeciwlotniczego, ponad workami z piachem. To była najpiękniejsza huśtawka w całym Glasgow! Hamak mógł pomieścić jednocześnie nawet trójkę dzieci. Mary lubiła się na nim kołysać – i marzyć, patrząc na przepływające obłoki. Spokój nie trwał jednak długo. „Błyskawica" popłynęła gdzieś daleko, a matka wymyśliła coś nowego.

Mary miała zaledwie osiem lat, a Charlie sześć, kiedy matka zgłosiła się na ochotnika na wyjazd do Anglii. Była dobrym fachowcem, pracowała jako operator dźwigu, ale nie musiała nigdzie wyjeżdżać, każdy by zrozumiał, że jej dzieci potrzebują jej na miejscu. Nie: pojechała. Nawet nie zgodziła się, żeby ją Charlie odprowadził na stację, bo dzieciak nie miał odpowiedniego ubrania. Przyniósłby jej wstyd. Oczywiście, nie zostawiła ich na łasce losu, powierzyła ich opiece swojej siostry, Christine. Właściwie Mary nawet lubiła tę ciocię. Tylko że ciocia Chris była sama w trakcie rozwodzenia się z mężem, a jej własny synek został umieszczony w domu dziecka z powodu zaniedbania.

Owa „opieka” wkrótce się cioci znudziła. Zaczęło się od wyprzedaży resztki mebli. Zniknęły też zabawki. Spali na podłodze i trzęśli się z zimna, bo nie mieli ciepłej odzieży. Pożerały ich pchły, wszy i świerzb. Mary płakała gorzko, kiedy ścinano aż do skóry jej gęste blond włosy. Charliemu też ogolono głowę. Dzieci w szkole wyśmiewały się z nich, toteż Mary przestała chodzić do szkoły. Wagarowała całymi tygodniami. Próbowała napisać do matki, nie dostała odpowiedzi.

Matka przysyłała ciotce co tydzień 10 szylingów na utrzymanie dzieci. Ciocia, tak jak przedtem mama, wręczała Mary pieniądze i listę zakupów – i Mary musiała wystawać w kolejkach po żywność.

Któregoś tygodnia, wychodząc na zakupy, Mary zjeżdżała po poręczy schodów. Banknot wypadł jej z ręki i wyfrunął przez otwarte okno porwany przeciągiem. Przez godzinę czołgała się na czworakach po ulicy, bezskutecznie szukając swojej zguby. Ciotka wpadła w furię, bo pierwszą pozycją na liście zakupów były zawsze jej papierosy. Wrzeszczała: „Nie kłam, gdzie masz pieniądze, ukradłaś, gdzie schowałaś?!” Zamknęła Mary w pokoju na pół dnia, bez jedzenia i picia, a wieczorem pojawiła się w drzwiach z trzcinową trzepaczką. Zbiła dziewczynkę tak mocno, że krew spływała jej po nogach. Zachowywała się, jakby oszalała, aż ktoś z sąsiadów z dołu usłyszał awanturę i interweniował.

Następnego dnia Mary poszła do szkoły – i dopiero wtedy podniósł się krzyk. Nie wyglądała pięknie ze swoją łysą głową w bandażach, z siniakami i otwartymi ranami na nogach. Postanowiono, że Mary i Charlie zostaną ulokowani w domu dziecka. Ich matka pojawiła się w samą porę – po dziewięciu miesiącach nieobecności.

Niestety, szczęście trwało krótko: po tygodniu pojawił się również matki świeżo poślubiony mąż. To nic, że była zaręczona z „głupim Polakiem". Jan leżał ranny w Algierze, a ona wyszła za angielskiego marynarza z Birmingham. To był awans społeczny.

Marynarz nienawidził dzieci, a co gorsze, był komunistą i bił matkę, a Mary gryzła go i kopała krzycząc: „Zostaw mamę, daj mamie spokój!" – aż przyjeżdżała policja. Małżeństwo rozsypało się wkrótce, ale rozwód matka dostała dopiero po wojnie, kiedy wrócił Jan. I jeszcze musiała przy rozwodzie wziąć na siebie winę cudzołóstwa…

Los jest złośliwy – myślała Mary później, kiedy rozpamiętywała tę historię.

Ciotka Chris, która tak ją zbiła, miała długo wyrzuty sumienia. Na 12 urodziny, już po wojnie, kupiła Mary najwspanialsze wrotki, jakie można było dostać w sklepach. Mary jeździła na nich po ulicach jak szalona, skakała w górę, robiła salta i obroty

w powietrzu. Czuła się jak Sonia Heine. Nie rozstawała się z wrotkami nawet w nocy, kładła je pod poduszkę. Niestety, jej swoboda trwała krótko. Niedługo potem musiała się zająć małą siostrzyczką.

Sandra urodziła się w roku 1946, dokładnie w którąś tam rocznicę tego dnia, kiedy jej ojciec, czyli Jan Rogacki, omal nie stracił życia na morzu. Ważyła dziewięć funtów i miała oczy jak Jan. Ojciec trzymał ją w rękach wysoko nad głową, tak, jak sportowcy prezentują swoje puchary stojąc na podium zwycięzców – i obwieszczał światu radośnie: *Moja kochana Sandrianna Rogacka!*. Mary czuła się szczęśliwa, jak nigdy w życiu.

Maleńka siostra była dobrym dzieckiem. Nigdy nie płakała i była śliczna. Mama robiła jej kaftaniki na drutach. Ojciec kupił maszynę do szycia, a że Sheila nie umiała nawet nawlec igły, Mary z dumą pomagała jej opanować tajniki szycia, jako że tego nauczono ją w szkole. W końcu wspólnym wysiłkiem sporządzono nie tylko sukieneczki we wszystkich kolorach tęczy dla Sandry, ale i dwie spódniczki dla Mary, jej pierwsze od lat nowe sukienki!

Jana zdemobilizowano w 1947 roku, a w październiku 1948 Sheila i Jan Rogacki wzięli ślub. Wyprowadzili się do Kirkcaldy. I tak skończyła się epoka Glasgow – i dzieciństwo.

Rozdział 2 ukaże się w poniedziałek 13 marca 2017 r.

Upiorne echa przeszłości – „Stan wyjątkowy” Piotra Guzego

Marcelina Janisz

W 2015 roku nakładem opolskiego wydawnictwa „Nowik” zostały wydane trzy książki Piotra Guzego: zbiór opowiadań *Odwiedziny u duchów i inne opowiadania*, *Krótki żywot bohatera pozytywnego* oraz *Stan wyjątkowy*. Autor w wieku 93 lat postanowił jeszcze raz przypomnieć o swojej prozie w Polsce, wznawiając edycję swoich utworów w jednym wydawnictwie, tworząc w ten sposób zamkniętą całość.

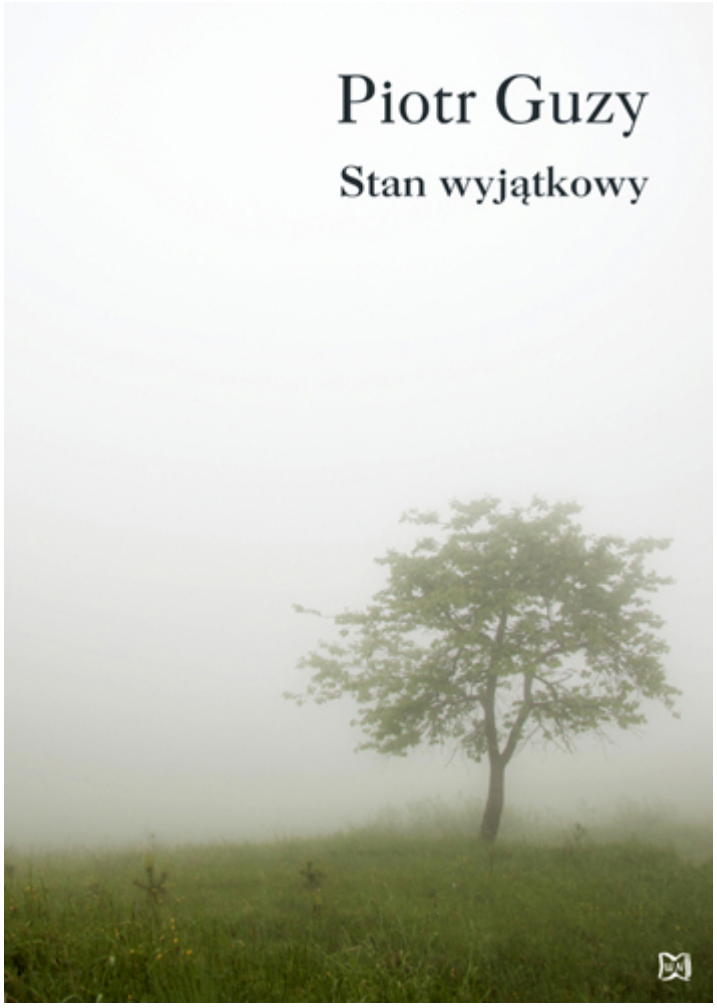

Rodzinne strony Piotra Guzego to Zawadzkie oraz Tarnowskie Góry. Życiorys pisarza naznaczony jest wojennymi doświadczeniami, jako żołnierz walczył w Pierwszej Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Wraz z rodziną powrócił do Polski w 1949, podjął pracę jako dziennikarz w „Gazecie Poznańskiej” i „Tygodniku Zachodnim”. W połowie lat 50. XX wieku. opublikował w kraju cztery powieści sensacyjne, szpiegowskie: *Następny odchodzi 22:25* (1955); *Nocny zrzut* (1955); *Cienie na gwiazdach* (1956) i *Wenus z brązu* (1956). Rok 1957 stał się kolejnym punktem zwrotnym w życiu pisarza.

Wówczas zdecydował się przedostać do Anglii. Pracował w biurach miejskiej gazowni, po roku otrzymał pracę w monitoringu radiowym BBC. W 1968 roku zaproponowano mu stanowisko redaktora w Rozgłośni Radio Wolna Europa w Monachium. Współpracował także z pismami „Kultura" i „Wiadomości", w których publikował teksty literackie, artykuły i recenzje.

Na emigracji ukazały się jego najbardziej znane i cenione przez krytyków powieści: *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (wyd. Instytut Literacki, 1966) oraz *Stan wyjątkowy* (wyd. Instytut Literacki, 1968), które zostały nagrodzone i wyróżnione przez literackie środowiska emigracyjne[1]. Za *Krótki żywot bohatera pozytywnego* otrzymał nagrodę paryskiej „Kultury" (w 1967 roku), zaś *Stan wyjątkowy* uhonorowano nagrodą „Wiadomości"[2]. Jeszcze dwukrotnie – w 1972 i 1973 roku – był nagradzany przez londyńskie pismo za utwory drukowane na jego łamach.

W 1977 roku Piotr Guzy wyjechał do Hiszpanii, gdzie obecnie mieszka w miasteczku Daimuz pod Walencją. Będąc już na emeryturze, poświęcił się całkowicie pisarstwu, publikując trzy kolejne powieści: *Wielkie nieszczęście* (wydaną we fragmentach w 1983 roku przez Oficynę WE); *Requiem dla pani Tosi* (wyd. Aneks, 1990) oraz *Zwidy na wysokościach* (wyd. Krajowa Agencja Wydawnicza, 1994). kraju jego opowiadania ukazały się

na łamach „Zeszytów Literackich” (*Będziesz miłował kata swego* 1984, nr 7; *Że ona jest, że w ogóle jest,* 1999, nr 67; *Wstyd*, 2006, nr 94; *Odwiedziny u duchów*, 2007, nr 97; *Ostatnia posługa*, 2009, nr 107); „Odry” (*Biedna Lilo*, 2012, nr 10); „Śląska” (*Frieda*, 2013, nr 7/8) oraz „Frazy” (*Mała Nusia z misiem,* 2013, nr 4).

Powieść *Stan wyjątkowy* pierwotnie była wydana w 1968 roku przez Instytut Literacki w serii – Biblioteka „Kultury” jako tom 159. Została ona uhonorowana przez londyńskie „Wiadomości” w kategorii za najwybitniejszą książkę pisarza polskiego wydaną na emigracji w 1968 roku. Zdaniem autora jest to jego najlepsza powieść, która nie doczekała się szczegółowych omówień i recenzji.

Drugie wydanie *Stanu wyjątkowego* Piotra Guzego to szansa na ponowne odczytanie powieści przez pryzmat współczesnego odbiorcy. Stanem wyjątkowym staje się polska historia, w którą uwikłane są ludzkie losy. To stan zagrożenia, niebezpieczeństwa, dominacji strachu, ale i wewnętrznego labiryntu wypełnionego głosami przeszłości:

> tak to się powtarza w tym kraju z jakąś piekielną regularnością z pokolenia na pokolenie i każde pokolenie po kolei łudzi się, że jego cierpień starczy już na wszystkie

> czasy i nigdy więcej, ale temu nigdy nie ma końca, zawsze żyjemy w stanie wyjątkowym, ledwie jedne rany się zagoją, ledwie człowiek trochę odzipnie, już jakaś nowa zawierucha (s.9).

Powieść *Stan wyjątkowy* składa się z czterech, integralnych segmentów, w każdym z nich czytelnik poznaje indywidualną, osobistą historię członka rodziny Niesztorów. Pierwsza część, ukazuje historię Jadwigi Niesztorowej, matki i seniorki rodu, która mieszka wraz z córką, wynajmując pokoje młodym kobietom. Podczas codziennych, rutynowych czynności, rozmów, kobieta wspomina przeszłość:

> duchy moich umarłych nie opuszczają mnie nigdy, trwam w świecie umarłych i w świecie żywych, ani tu, ani tam całkowicie, rozerwana, skłócona ze sobą, bez przerwy grzebię w pamięci jak w kupie rozrzuconych klocków, z których chciałoby się sklecić logiczną całość, lecz wszystko się ciągle na nowo rozsypuje (s.6).

Jej mąż – Stefan oraz synowie zginęli rozstrzelani przez gestapo. Obrazy wojny przeplatają się z jej intymną historią – śmiercią ojca zastrzelonego i powieszonego przez Ukraińców, zdradą męża, fascynacją cielesnością, tęsknotą za synem Jurkiem, który

walczył w Armii Krajowej, a teraz poszukiwany jest przez Urząd Bezpieczeństwa. Opisywane wydarzenia mają miejsce w 1947 roku, kiedy to ustrój komunistyczny powoli zaczynał się formować w Polsce.

Akcja drugiej części została osadzona w 1945 roku. Roman Niesztor, były żołnierz walczący pod dowództwem generała Maczka, próbuje odnaleźć swoją żonę Aleksandrę w jednym z niemieckich obozów. Podczas swoich poszukiwań obserwuje Niemców, nie potrafi im wybaczyć, szuka zemsty. Jego myśli podążają ku wspólnej przeszłości, retrospekcje ujawniają dychotomiczny niejako stosunek do żony, którą na równi darzy zarówno miłością jak i nienawiścią. Źródło takiej postawy wobec Aleksandry tkwi w jej niewierności, ucieczkach i powrotach, a przede wszystkim w negatywnym odniesieniu kobiety do macierzyństwa. Żona próbowała za wszelką cenę poronić, aby nie obdarzyć męża potomkiem. Jej stosunek do dziecka nie zmienił się nawet po porodzie, czego nie mógł zrozumieć i wybaczyć główny bohater.

Trzecia część usytuowana jest w 1957 roku, w okresie amnestii politycznych po odwilży październikowej. Z więzienia po 11 latach wychodzi Jurek, który odwiedza swojego brata Romana oraz bratanice – Joasię i Wandę i siostrę Helenę. Jego historia tworzy kolejną część dramatycznej układanki. Uznany za wroga przez władze PRL, były żołnierz AK, powraca do domu na

Wigilię. Przed jego oczami stają znowu obrazy zamordowanego przez gestapo ojca i braci. Przeszłość wywołuje w nim wyrzuty sumienia. Bohater czuje się winny śmierci bliskich, swoją nieostrożnością i działalnością dywersyjną, sprowadza na rodzinę niebezpieczeństwo. Kolejną zadrą z przeszłości Jurka jest romans i zdrada ojca. Młody wówczas bohater nie potrafi pogodzić się z tą sytuacją, staje jednoznacznie po stronie skrzywdzonej matki. Postanawia sam rozmówić się z kochanką ojca. Podczas spotkania dochodzi do ich zbliżenia, mimowolnym świadkiem staje się ojciec Jurka. To wydarzenie kładzie się cieniem na relacjach syna z ojcem.

Bohaterką ostatniej części powieści Guzego jest Wanda Niesztor, córka Romana, która przybywa na proces hitlerowskiego oprawcy Wieshoffa, eksperymentującego na więźniach w obozie koncentracyjnym. Dziewczyna dowiaduje się, że zbrodniarz jest jej biologicznym ojcem. Świadomość, że jest owocem okrutnego związku, w którym matka była ofiarą, nie daje jej spokoju. Pragnie poznać swoją prawdziwą tożsamość. Podczas spaceru po niemieckim mieście budzą się w niej koszmary związane z obozem koncentracyjnym, w którym przebywała jej matka. Nie może pamiętać tych zdarzeń, ale ich intensywność i emocjonalność pokazują, że matka oprócz życia przekazała jej także strach, ból, dziedzictwo dziecka obozów. Jej opowieść dopełnia historię losów Aleksandry Niesztor, żony Romana, który zaopiekował się Wandą, wracając z nią do Polski.

Powieść Piotra Guzego obrazuje różne oblicza zła, bolesną, jątrzącą się polską przeszłość oraz naderwane więzi międzyludzkie, zaburzone relacje między rodzicami, a dziećmi, mężem a żoną. Każdy z bohaterów – matka, która straciła swoich najbliższych podczas wojny, syn szukający swojej żony, człowiek, poświęcający w imię ojczyzny swoje życie i bliskich, córka zbrodniarza nazistowskiego i więźniarki, wciąż od nowa próbują przetrawić, zrekonstruować dramatyczną przeszłość. Tytułowy stan wyjątkowy istnieje w każdym z nich, podszyty strachem, nienawiścią, zazdrością, bezradnością, zatruwając psychikę i teraźniejszość każdej z postaci. Sposób prowadzenia narracji ujawnia głębokie rysy psychologiczne, nagromadzenie myśli, nieskładnych, wypływających lawinowo, łączących przeszłość z chwilą obecną, a także nieustannie powtarzanie zdań, dają poczucie ogromnej realności. Autor uzewnętrznia swoje postacie, wnika w ich sferę intymności, wplata w tok opowiadania ich myśli, fantazje, emocje, rodzące się w wyniku zderzenie się ze złem czy to pod postacią wojny, gestapo, śmierci, obozów koncentracyjnych, władzy komunistycznej. Najbardziej dramatyczną postacią wydaje się być Jurek, w okresie wojny bohater, a przez władze PRL uznany za wroga i zdrajcę.

W czterech kadrach, wypełnionych gąszczem myśli, mozaikowych obrazów przeszłości, precyzyjne zostają uchwycone wszelkie demony pokolenia rodziny Niesztorów. Powtarzające się jak mantra zdania (np. *„A jakież to prawo ty*

sobie uzurpujesz, żeby własnego ojca sadzić?”; „Twoja matka potrafiła mi przebaczyć, a ty nie potrafisz?”; „Żebyś wiedział, powiedziała, jakich ja rzeczy nie robiłam, żeby się tego dziecka, Ukarzę cię za to, wyrodna matko, ty!”), pojawiające się nagle, zaburzające tok fabularny brzmią w powieści jak wyrzut sumienia tych, którzy zginęli, odeszli. Znamienne daty 1 listopada, 3 listopada, 24 grudnia oraz 23 czerwca mają wymiar nie tylko symboliczny, nawiązujący do listopadowego święta zmarłych, Wigilii czy dnia ojca lecz każda z tych dat rodzi dodatkowy kontekst. Szczególnie listopad ewokuje wspomnienia bliskich zmarłych, tradycja wigilijnej wieczerzy również nawiązuje do nostalgicznej zadumy i tęsknoty za nieżyjącymi krewnymi. Dzień ojca przypadający 23 czerwca natomiast obrazuje trudne relacje między dzieckiem a ojcem. Portret rodzica jest pokryty grubymi i głębokimi rysami w postaci małżeńskiej zdrady, rywalizacji z synem, okłamywania najbliższych osób. W przypadku Wandy – ojcem okazuje się być potwór, skazujący tysiące ludzi na śmierć w obozie koncentracyjnym.

Zło w powieści *Stan wyjątkowy* przybiera różne oblicza, kryje się w słowach bohaterów, ich zapętlonych myślach. Nie można go pogrzebać wraz z końcem wojny, mrok stalinizmu spowija Polskę:

> człowiek stracił zaufanie do świata, do siebie, drugiego człowieka, zresztą co to jest za pokój? ludzie boją się jak za okupacji, nawet gorzej, wtedy się wiedziało, kto wróg i dlaczego, a dzisiaj? mówią, że Polacy, a zachowują się jak najwięksi wrogowie”(s.17).

Wojna rozkłada w człowieku to, co ludzkie – Roman, były żołnierz snuje na jawie koszmarne wizje zagłady Niemców oraz wcielenia w życie kodeksu Hammurabiego. Stany wyjątkowe napędzają machinę zła, strachu. Czy wiara lub Bóg mogą pomóc zrozumieć wojenne piekło, tortury, obozy? Bohaterowie powieści Guzego bezradnie pytają Boga o sens cierpienia, wojny, zagłady. Nie znajdują odpowiedzi, ponieważ słowa tracą znaczenie w obliczu piekła, obumierają, rozsypują się w pył korpusy moralne, kategorie dobra i zła – pozostaje goły, mroczny instynkt. Wybory bohaterów zdają się mieć zwielokrotnione konsekwencje, które

> wloką się przez całe życie, rozprzestrzeniają się jak kręgi na wodzie, coraz większe, coraz więcej zgarniające ludzi, których los został nieopatrznie wprzęgnięty w łańcuch przyczyn i skutków, z którymi nie mieli nic wspólnego (s.127).

Powieść zdaje się składać z fragmentarycznych obrazów, tkwiących głęboko w pamięci. Postacie stworzone przez Guzego żyją zawieszone w dwóch światach – przeszłości i teraźniejszości. Na ich portrety, ukazywane jakby przez mgłę, splatają się wspomnienia, koszmary, wyobrażone, alternatywne zdarzenia, domysły. Pomimo nakładania się niektórych obrazów i wydarzeń, obserwowanych z perspektywy kilku bohaterów, nie poznajemy szczegółowo losów rodziny Niesztorów. Autor nie stosuje prostych konstrukcji zdaniowych, przeplata narrację, wydarzenia, odwzorowując mętlik panujący w ludzkiej psychice. W umyśle zderzają się i polemizują różne głosy, należące do sumienia, wewnętrznego „ja" czy wyobrażonego obserwatora. Mowa wewnętrzna, monologi, techniki strumienia świadomości, wskazują na narrację personalną, bliską konstrukcji powieści psychologicznej.

Polska historia w oczach bohaterów *Stanu wyjątkowego* to nieustanne odradzanie się mechanizmów, które odbierają ludziom poczucie bezpieczeństwa i wolności. Wielka historia przekłada się na losy rodziny, każdego z jej członków, płynąc w krwi i zakotwiczając się w pamięci dziadków poprzez dzieci i wnuki. Nie ma możliwości obrony przed machiną wojny czy totalitaryzmu, historię tkają ludzie, ich działania, obierane drogi i cele. Autor akcentuje, że zło nie jest tworem wyobcowanym, jednobarwnym, bezpostaciowym. Jest trucizną, przenikającą do sfery ludzkiego umysłu, podsycającą żywioł destrukcji i

niszczenia. Czy jest to przestrzeń wojenna czy świat PRL-u, ludzie są niewolnikami własnych traum, strachu, nieufności. Postacie *Stanu wyjątkowego* nie rozmawiają na trudne tematy, spychają przeszłość w stronę tabu, tylko indywidualnie, we własnych umysłach próbują nazwać to, czego słowa nie potrafią wyrazić. Proza Piotra Guzego w warstwie narracyjnej przypomina miejscami *Bramy raju* Jerzego Andrzejewskiego.

Stan wyjątkowy Piotra Guzego był mocnym i stanowczym głosem, traktującym o polskiej przeszłości i współczesności PRL-u, tematach tabu (chociażby o polskim antysemityzmie podczas wojny czy w czasach komunizmu), działaniach UB i inwigilacji polskich obywateli. Środowisko emigracyjne doceniło autora za oryginalność, zaskakującą autentyczność, jak twierdził jeden z członków jury, wybierający najlepszą książkę roku 1968 na emigracji – Juliusz Sakowski:

> Martyrologia polska ukazana jest tu w sposób odmienny od wszystkich znanych nam w literaturze (…). Tyle jest książek o rzeczywistości wojennej i powojennej, o Polakach i kleszczach czy to bezpieki czy gestapo, a tu po raz pierwszy widzimy tę upiorną rzeczywistość w innym przekroju i innym napięciu, tętniącą nieznanym dotąd rytmem („Wiadomości” 1969, nr 25, s. 2.).

Czy również dzisiaj autor będzie mógł zachwycić czytelnika tak jak prawie pół wieku temu?

Atutem *Stanu wyjątkowego* jest jego forma, psychologiczne fascynacje pamięcią, przeszłością, a także pogłębione analizy funkcjonowania zła obecnego w rzeczywistości XX wieku. Być może wszystko już zostało opisane, przetrawione, a wszelkie zbrodnie wojenne i stalinowskie ujrzały światło dzienne. Nie sposób jednak tych osobistych historii wyprzeć z pamięci. Mroczne czasy wracają niczym bumerang i odzywają się w umysłach pojedynczych jednostek – świadków i uczestników wplatanych w historię. Guzy oddaje głos swoim postaciom, obserwatorom, pozostawiając ich samym sobie. Czytelnik, tą polifoniczność labiryntów myśli, musi rozszyfrować sam.

Piotr Guzy, *Stan wyjątkowy,* wyd. II, Opole, „Nowik" 2015.

[1] Jerzy Giedroyc uznał powieść *Krótki żywot bohatera pozytywnego* za „rzecz o wielkiej wartości", wydając ją w Bibliotece "Kultury". Zob. J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, Warszawa 1994, s. 197

[2] Powieść *Stan wyjątkowy* została uhonorowana przez londyńskie "Wiadomości" w kategorii za najwybitniejszą książkę pisarza polskiego wydaną na emigracji w 1968 r.

Sergiusz Piasecki wedle Camila José Celi



Camilo José Cela, hiszpański prozaik, laureat nagrody Nobla.

Florian Śmieja

Kiedy w roku 1989 roku nagrodę Nobla otrzymał prozaik hiszpański Camilo José Cela, literatura hiszpańska chlubiła się już czterema laureatami tej prestiżowej nagrody. Zdobyli ją dramaturdzy José de Echegaray (1832-1916) w 1904 roku i Jacinto Benavente (1866-1954) w 1922, poeci Juan Ramón Jiménez (1881-1958) w 1956 i Vicente Aleixandre (1898-1984) w 1977.

Cela, urodzony w roku 1916 w północno-zachodniej prowincji Galicia, był jednym z dziewięciorga rodzeństwa. Ponieważ matka pochodziła z Anglii, w Londynie spędził pierwsze cztery lata życia. Jako dziecko pobierał nauki u jezuitów. Na uniwersytecie zmieniał fakultety medycyny, prawa i humanistyki, nie kończąc żadnego. Poznał natomiast wybitnych poetów (m.in. Pedra Salinasa), którzy wywarli nań znaczny wpływ i zachęcili do pisania. Kiedy w 1936 r. wybuchła wojna domowa, Cela zaciągnął się do szeregów wojsk gen. F. Franco.

Po wojnie zanim potrafił wyżyć z pióra, zarabiał na życie próbując kolejno szczęścia jako toreador, aktor filmowy i urzędnik państwowy. Pociągały go podróże, zwłaszcza piesze wędrówki przez biedne regiony Hiszpanii. Wybrał się też w dwie długie podróże do Ameryki Południowej.

Debiutował jako poeta w 1935 roku, potem publikował opowiadania, a w 1942 wydał powieść „Rodzina Pascuala Duarte”, która przyniosła mu ogromny rozgłos i przełożona została na wszystkie ważniejsze języki. Jest to opowieść brutalna i okrutna o straconym przez uduszenie mordercy, człowieku, który nie umiał opanować swoich nieludzkich aktów, wymierzającym własnymi rękami sprawiedliwość w proteście przeciwko ślepym prawom. Czuł się zmuszony używać normy nienormalności w swoim życiu.

W powieści „Ul” znakomity obserwator pokazał przekrój życia stolicy Hiszpanii. Uchodzi ona za najambitniejszą powieść Celi, którego dictum „Życie nie jest dobre. Człowiek też nie jest dobry”, doskonale do niej pasuje. Ta eksperymentalna powieść, której bohaterem jest Madryt z 1943 roku ukazany w 160 różnorodnych postaciach, nacechowana jest smutkiem, tragedią i gwałtem owych czasów, poczuciem klęski i rozczarowania.



Camilo José Cela

Kiedy nawiązałem z Celą kontakt listowny, obie książki były już w rękach tłumaczy polskich. Pisarz sugerował, bym się podjął przekładu jakiejś innej jego książki. Nie skorzystałem. Najwyraźniej nie miałem nosa do interesu. Zresztą pisałem do niego w sprawie Sergiusza Piaseckiego.

W 1944 r., kiedy po przekładach na angielski (1938), francuski (1940) i włoski (1942) ukazała się hiszpańska wersja „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy", Cela w czasopiśmie „Arriba" zamieścił artykuł „Niezwykły człowiek – Sergiusz Piasecki". Szczegóły życiorysu zaczerpnął z przedmowy Melchiora Wańkowicza. Hiszpana zachwyciły takie cechy Piaseckiego, jak brawura,

duma, samotność, życie aktywne, sentymentalność. Ujęła go postać człowieka, który po „górnym” życiu wojennym nie potrafił sobie znaleźć miejsca w cywilu. Piasecki zaznaczający w swoim podaniu o ułaskawienie, że nie był człowiekiem złym, ale pechowym, przypominał bohatera powieści Celi „Rodzina Pascuala Duarte”, to też artykuł nosi znamienną dedykację „Ku pamięci Pascuala Duarte”. Jego autor przyznał, że go historia Piaseckiego wzruszyła. Dlatego ten „niezwyczajny człowiek” w artykule Hiszpana wyszedł na wolność dopiero z chwilą wybuchu wojny światowej w roku 1939 – „wyszedł przez bramę wiodącą na śmierć”.

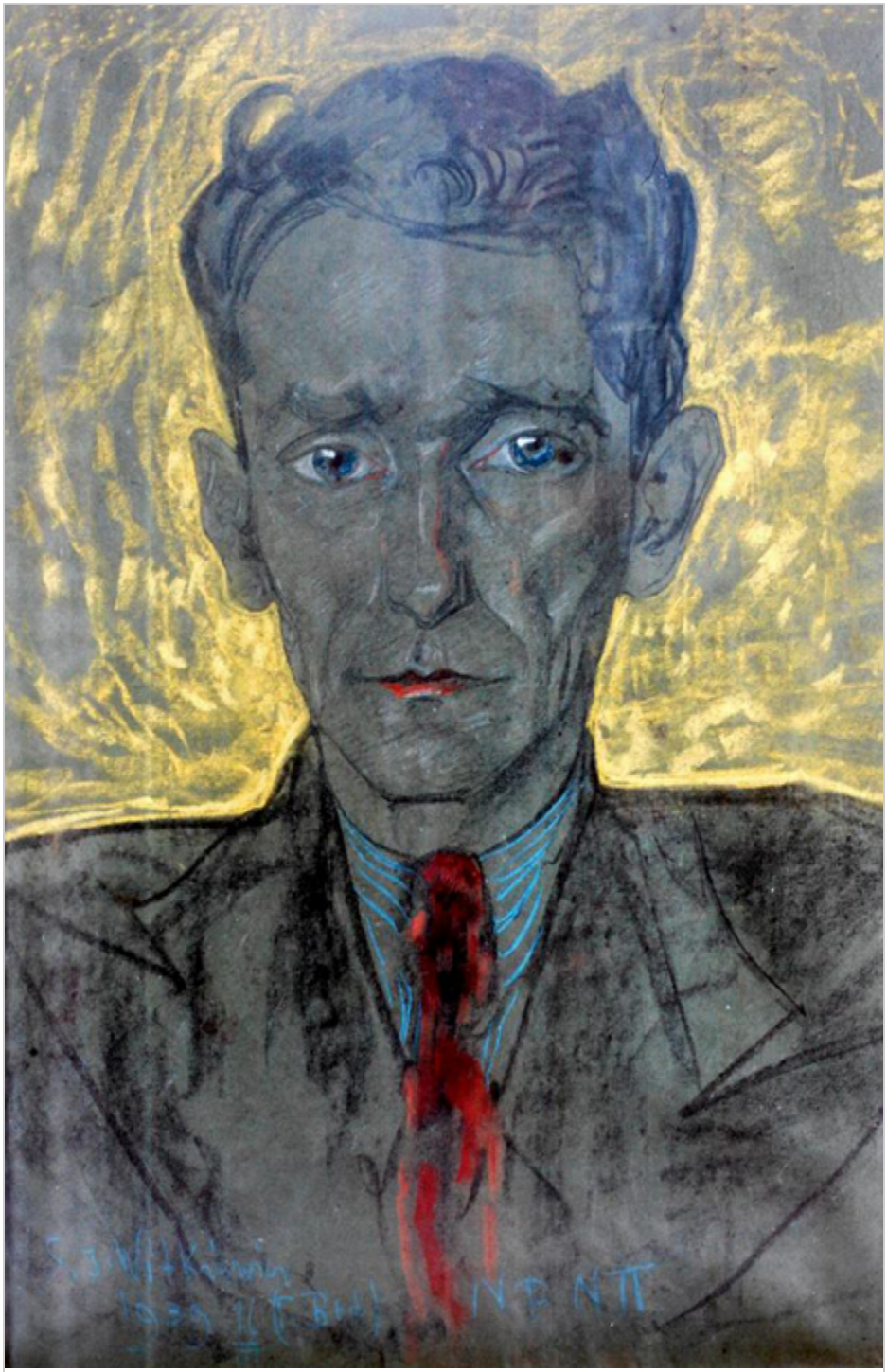

Sergiusz Piasecki sportretowany przez Witkacego, fot. obraz ze Zbiorów Muzeum Literatury.

Józef Łobodowski, który w tym czasie pojawił się w Hiszpanii, dostarczył autorowi szczegółów owego napadu rabunkowego, za który Piasecki stanął przed sądem i został skazany. Powstał więc drugi artykuł Celi, w którym podzielił on się z czytelnikiem nowymi wiadomościami, chociaż nie wszystkie były prawdziwe. W trzecim wreszcie artykule „Skończmy już z Piaseckim", Cela dał się ponownie ponieść swojej fantazji. Usprawiedliwiając nieścisłości pierwszego artykułu pokazuje Piaseckiego, który przeżywszy wojnę niemiecko-polską, niczym stary wilk nocami w śniegach przeprowadzał ludzi na Litwę, unikając straży obu armii sprzymierzonych na zgubę Polski: niemieckiej i sowieckiej.



Sergiusz Piasecki. As polskiego wywiadu i znakomity pisarz.



Segiusz Piasecki

Jak z tytułu wynikało, miał to być artykuł ostatni dopowiadający rzeczy do końca. Osłaniając się słowem „pogłoska”, Cela kazał jeszcze Piaseckiemu walczyć w Powstaniu Warszawskim i zginąć w walce. Sam pisarz tak wersję swoją tłumaczył:

> Był to może najlepszy koniec dla człowieka, który pewnej nocy, patrząc przez zakratowane okno celi zakochał się jako młodzik w Wielkiej Niedźwiedzicy, w zimnej hieratycznej Wielkiej Niedźwiedzicy.

Kiedy doniosłem Celi, że Piasecki nie tylko wojnę przeżył, ale nawet mieszkał w Anglii niedaleko ode mnie, Hiszpan odezwał się natychmiast. W liście z 21 stycznia 1960 r. prosił o szczegóły dotyczące życiorysu Piaseckiego począwszy od roku 1939, obiecując napisać nowy artykuł, aby – jego słowami – z satysfakcją postawić rzeczy na właściwym miejscu. Chciał też w wydawanym przez siebie na Majorce czasopiśmie „Papeles de

Son Armadans” wydrukować jakieś opowiadanie Piaseckiego.

Zwróciłem się do mieszkającego w St. Leonards-on-Sea pisarza i wnet otrzymałem dużą kopertę różnych jego tekstów i listów z adnotacją, że opowiadań krótkich nie posiada, ale że mogę wybrać dowolny fragment jednej z powieści. Napisałem o tym do Celi, załączając uzupełniony życiorys Piaseckiego. Odpowiedzi już się nie doczekałem, sekretarka powiadomiła mnie, że pisarz wyjechał w zagraniczną podróż i że odezwie się po powrocie. I na tym kontakt się urwał.

Kiedy w 1976 roku wyszedł IX tom dzieł zebranych Celi, owe trzy artykuły poświęcone Piaseckiemu ukazały się po raz pierwszy razem i , okazało się, bez żadnych ingerencji czy przypisów autora, który wolał najwidoczniej zachować dokumenty swojej wyobraźni artystycznej, gdyż nie harmonizowała mu cicha śmierć w małym angielskim miasteczku z człowiekiem niespokojnym, którego przyrównał do Pascuala i który go wzruszył. Swoim autorytetem wielkiego twórcy sam wymierzył sprawiedliwość poetycką samotnemu wędrowcowi spoczywającemu na obczyźnie pod prostym kamieniem oznaczonym konstelacją Wielkiej Niedźwiedzicy.

Karuzela z sympatiami



Londyn, Wielka Brytania.

Krystyna Cywińska

Różne rzeczy się pisze i mówi o nowych przybyszach z kraju. Ale jakoś nikt nie pisze o tym, że zdołali dokonać tego, co nam się przez lata nie udawało. Nam, czyli starej polskiej emigracji. Choć się bardzo o to starała. Pozyskać tutaj takiego jak ci nowo przybyli uznania jednak nie pozyskała. I docenienia ich wkładu w tutejsze życie codzienne. Nas tu po wojnie ledwo zauważano. Bywało, że lekceważono. Niedoceniano. Przedrzeźniano nasz akcent: *zenk ju wery mucz*.

Wyśmiewano nasze maniery. Te rączki całuję. I tę całą naszą galanterię. Wykpiwano nasz hurrapatriotyzm i obsesję narodowego męczeństwa. Nie byliśmy tu zbyt popularni. Ci śmieszni Polacy w demobilach, w żółtych butach, z teczkami na zakupy.

A przecież zaraz po wojnie stanęliśmy do odbudowy tego kraju. Z żołnierzy walczących o wolność staliśmy się armią robotniczą. Białymi murzynami do wszystkiego. I kością niezgody w związkach zawodowych. Tych zaklętych rewirach zamkniętych dla obcych, najczęściej dobrze wykwalifikowanych sił. Jak się do związku nie należało, nie można było dostać lepszej pracy. A żeby się do związku dostać, trzeba było dostać tę lepszą pracę. Tak było przez wiele lat królowania związków zawodowych pod berłem królowej.

Powstały więc polskie robotnicze brygady. Srebrna brygada –

począwszy od generała w dół – pucowała srebra w hotelach. Przypomnę, że gen. Stanisław Maczek, osławiony dowódca I Dywizji Pancernej, uwielbiany przez swoich żołnierzy, był barmanem. Gen. Klemens Rudnicki, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, kurierem wycieczek po Europie. Gen. Stanisław Sosabowski, twórca 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej – magazynierem. Niegdysiejsi ministrowie i posłowie do Sejmu II RP pracowali w fabryce biskwitów. Oficerowie z cenzusem stali na straży w muzeach. Byli dozorcami w magazynach i biurach. Kelnerami w restauracjach. Ci niżsi rangą wyrąbywali węgiel w kopalniach i orali twardą glebę. Inni zabrali się za rzemiosło. Hydraulików, szwaczek, pokojówek i kucharek było bez liku. A podziemia kolejki londyńskiej pełne były zamiataczy z dyplomem. Ale jakoś tego nie zauważano, ani nie doceniano, ani z uznaniem nie pisano. Nie mieliśmy dobrej prasy. Raczej negatywną, bo byliśmy politycznie niewygodni. Polska się nie liczyła. Polacy też. A emigracyjni politycy byli tu solą w oku. Z czasem, uporczywie kując, wyrąbaliśmy sobie chodniki akceptacji. Ale było nas już wtedy niewielu. Takie uznanie dla odchodzącego gatunku.

Przyszedł rok 2004. Fala masowej emigracji i Polacy znów stali się białymi murzynami. Z tą różnicą, że od razu oficjalnie docenianymi, chwalonymi, pożądanymi. Opisywanymi w prasie i pokazywanymi w telewizji. *They blend with the landscape.* Mieszkańcy wioski pod Yorkiem znów mają na śniadanie świeże bułeczki wypieczone przez polskiego piekarza i sprzedawane

przez polską *pretty girl*, która nawet z angielskim sobie radzi – jak pokazywano w telewizji. Polska *cleaning lady* o rumianych policzkach – jak pisał „Daily Telegraph" – wpisała się w cywilizację brytyjskich domów. Bo dobrze je sprząta i czyści. Polski osławiony *plumber* ratuje te domy od zalewu. Polski *builder* ratuje je przed ruiną. To byłby dopiero lament i dramat, gdyby ci polscy biali murzyni wrócili do kraju! Żeby się tam przefarbować na adwokatów, architektów, bankowców i wykładowców. No, co by to było!?

Nikt kilka lat temu w takie hipotetyczne gdybania się nie zabawiał. Aż przyszedł niejaki Brexit i zdarł kurtynę hipokryzji. Bo owszem, niech dokręcają te krany, wymiatają kurze i stoją rzędem na taśmie produkcyjnej. Ale przecież zabierają nam miejsca w szpitalach, wydłużają kolejki do GP i biorą zasiłki na dzieci, które zostawili babciom w Polsce. Nas po wojnie odsyłano do kraju. Tę zadrę za polityczną skórą. Nowych przybyszy się kokietowało w politycznie poprawnych czasach. Czy teraz zatrzasną się przed nimi Brexitowe wrota? Aż krany znów zaczną cieknąć, domy popadać w ruinę, a mieszkańcy wioski pod Yorkshire zaczną znów jeść odmrażany chleb?

Taką ot snuję ponurą wizję, w którą wolę nie wierzyć. Nie chciałabym się raz jeszcze zawieść w miłości w moim wieku. Tym razem do kraju, który mnie tu jednak przygarnął.

„Nowy Czas”, Londyn, nr 1/226, 2017.